Nr. 2 Należ. poczt. opłac. ryczałtem We Lwowie, luty 1927 Rok XLVIII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI W lutym nie wolno polować na jelenie, zające, jarząbki i kuropatwy.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiej Spółki Myśliwskiej ul. Lindego 9, w godz. 12—1. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

TREŚĆ: Albert Mniszek: Karpaty wschodnie (dok.) — Dr. Stan. Koźmian-Reicher: Pies. — Albert Mniszek: Niesamowity Miś — Mistrz-Rotmistrz: Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało (feljeton, c. d.) — Dr. A. Ruczka: Spostrzeżenia o wilkach (c. d.) — Szlachta drobna na Polesiu (feljeton, c. d.) — Władysław Czerniejewski: Przez kraj Matabellów do Kalacharskiej pustyni (c. d.) — Korespondencje: Chodorów, Jagielnica, Jagielnica, Sielec, Jagielnica, Czortków. — Od Administracji: Do wiadomości P. T. Członków! — Na ołtarz św. Huberta. — Strzelnica pokojowa „Sokoła-Macierzy". — Z Wydawnictw.

Pamiętajmy o ofiarach na ołtarz św. Huberta!

ALBERT MNISZEK

KARPATY WSCHODNIE

W TOPOGRAFJI, NOMENKLATURZE I MYŚLISTWIE

Dokończenie

Prasłowiańska, według Szafarczyka*) od *horbu* t. j. garbu pochodząca nazwa Karpat jest utworem fantazji**). Nazwa Karpaty znaną jest już Herodotowi (IV wiek przed Chr.) chociaż Carpis uważa on za rzekę na północy Europy płynącą.

Kiedy powstały pierwsze osiedla w Karpatach? Można przypuszczać, że w początkach wędrówek ludów dostawały się do starożytnej Panonji te i owe drużyny nietylko dolnym biegiem Dunaju, ale i przez Karpaty. Przedzierały się one przez dostępniejsze przełęcze górskie, a ludność uciekająca przed nawałem obcych przybyszów wkraczała do wnętrza gór i zakładała w nich pierwsze swe osiedla. Kolonizacja Karpat odbywa się w ten sposób z północy lub z południa zależnie skąd idzie nawała. Uciekała później ludność ruska i polska w góry przed najazdem Tatarów, uciekała przed nimi ludność wołoska i słowacka z południa. Zaszywali się w góry uciekinierzy z nieczystem sumieniem z Polski, Wołoszczyzny i Węgier chroniąc się przed prawem. Ta przymusowa, szałasowa z początku kolonizacja zaludniła doliny rzek karpackich, a ludność ta pasterska i koczownicza utworzyła z czasem stałe osiedla i rodzime typy karpackich górali. Od nich pochodzą najstarsze nazwy pasm przełęczy szczytów i rzek karpackich, a zarazem słowa używane w gwarze ludowej przez dzisiejszych karpackich górali. Z brzmienia tych nazw dziś już wnioskować pewnie możemy, że napływowa ludność najpierw w Karpatach wschodnich osiadła była pochodzenia romańskiego (wołoskiego) i słowiańskiego (ruska, polska, słowacka).

Zacytujemy tu nieco charakterystycznych słów takich: *Jawornik:* góra porosła jaworami; *Krzemieniec:* góra na której jest krzemień; *Szewela:* góra pokryta lasem (szewełyty: szumieć); *Trościan:* góra moczarowata (od trost': trzcina); góry niższe: *Pereniż, Horb, Żołob, Dowżki;* wyższe: *Szczołb, Prysłop, Ostry, Wysoki Werch;* Starożytne słowiańskie: *Berdo:* skalista góra; *Pleso, Sołotwina* (bagna); *Putyszcza* (od put: drożyna); *Czerteż* (parów); *Kiczera* (od kita, kota, kocura, może żbika lub rysia); potoczne jak *kuczma* (czapka); *homon* (szałas); *ciwka* (strzelba); *gawra* (knieja); *mereżka* (starosłowiańska *mreza:* sieć); *serdak* (kożuch).

Obce słowiańskiemu duchowi wyrazy: *Magen* (okrągła góra); *Gruń gorgan* (wołos.: gruiu) góra szpiczasta); *Kliwa* (od clivus: pagórek); *Menczel* (munczel: pagórek); *Magura* (nagi szczyt); *Sekul, Solagan:* szczyty (rumuń.): *bołt* (sklepienie w skale); *muczna* (od mons); połonina (łąka, od planina, planus); *płaj* (ścieżka od plain); *syhła* (las od silva); *watra* (ogień, albańskie vatr) i wiele innych, pochodzenia wołoskiego, łacińskiego i węgierskiego.

Niewyjaśnionem dotychczas jest pochodzenie znanej już w 13-ym wieku nazwy *Beskid* i przerobionej zeń *Bieszczady.* Zdaje się, że przyniesioną została w nasze góry przez Wołochów, a pochodzi od greckiego *boskein,* co znaczy paść, zatem pastwisko, połonina Charakter Beskidów naszych, jako bogatych w pastwiska nadawałby słuszność tej hipotezie.

Pomówmy teraz o ogólnym charakterze Karpat w układzie geologicznym we florze i we faunie.

Karpaty, uczy nas geologja, powstały w epoce trzeciorzędnej, równocześnie z Alpami, później od Pirenejów i Kaukazu. Mimo jednak, że do tego samego systemu co Alpy należą, nie mają tej samej rozmaitości warstw, co tamte. Niema w Karpatach, ani bazaltu, ani porfiru, ani nawet właściwego Tatrom granitu, jest tylko piaskowiec, łupek i glina. Przekonano się o tem dowodnie po wspomnianym już tu zsuwie na Doboszance w Gorganach, który choć głęboko sięgnął w pokłady szczytu wydobył na wierzch tylko te minerały. W północnej części Karpat przeważa piaskowiec z krzemieniem, bliżej zaś granicy państwowej łupek i glina. Skał jest ubogo, a te są zwykle czerwonawo ubarwione od skąpych pokładów żelaza w nich zawartych.

Charakterystyczną Karpat cechą a zarazem niezrównaną tych gór krasą jest wiecznie latem i zimą zielona ich szata, panuje w nich bowiem wszechwładnie świerk i jodła. Tylko w dolnych partjach buk wspaniały króluje i toczy zaciętą walkę z tamtemi, w której uledz musi, gdyż kultura lasowa stoi po stronie więcej użytecznych drzew szpilkowych. Buk, jako drzewo opałowe, wobec trudności wywozu i połączonych z nim kosztów jest w górach drzewem nieproduktywnem. Wieczna zieleń karpacka włożyła też w usta zamieszkującego góry nasze ludu często powtarzający się jako określenie rozmaitych szczytów i grzbietów głównie w Beskidzie przymiotnik: zielony, *zełeny.* Królową drzew karpackich jest jodła i ta nadaje Karpatom poważny ciemno-zielony ton. A gdy w jesieni pierwszy

*) Safarik: Slovan starožitnosti. Praga 1836. — Szaraniewicz: Zaczątki Słowian u stoku Karpat 1870. — Wojc. hr. Dzieduszycki: Wiadomości starożytnych o geografji ziem polskich 1887.

**) Dr. Fryderyk Papeé: Skole i Tucholszczyzna 1891.

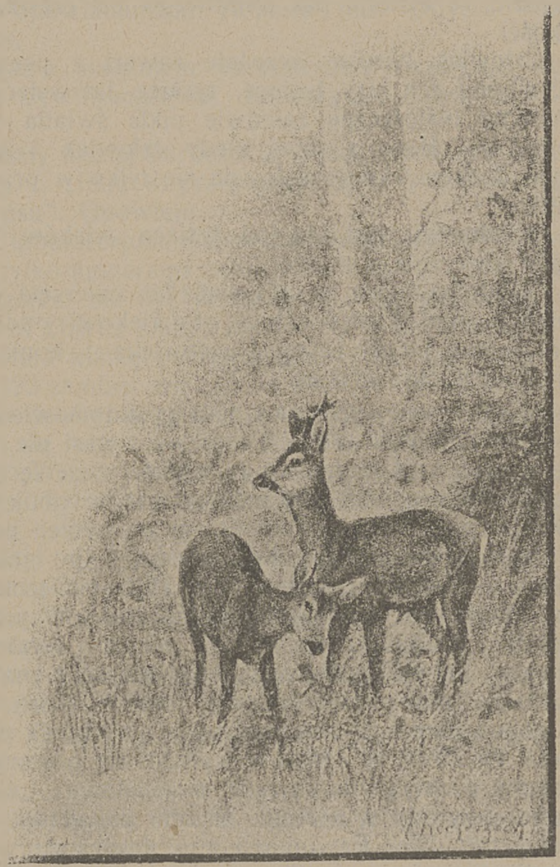
powiew zimy przeleci ponad górami, stają się one istną mozajką barw. Buki czerwienią się szkarłatem wśród morza ciemnej zieleni jodeł i świerków, żółtą plamą zaznaczy się jawor, zwiędło zieloną wstęgą połonina. Złocą się na nich kępy arniki, sinieje gentian, różowieje azalja i pstrzą się różnokolorowe storczyki. Na stokach pnie się rozchodnik i rozpościera się róża alpejska (rododendron). Dziwaczne osty o słomiano żółtych różyczkach, przysmak dzików i paprocie zwane przez lud *jelenim językiem* wpadają w oczy. Po szczytach (około 1200 m), brnie noga głęboko w mchach islandskich i żórawinach zwanych gogocami (przysmak niedźwiedzi, jeleni i wszystkich kuraków), a po zrębach lśnią karbunkuly malin i ostrężyn. Mnóstwo najrozmaitszych olbrzymich kolorowych grzybów ożywia ciemny koloryt podłoża praborów.

Świat zwierzęcy tu także odmienny, z wyjątkiem kozicy i świstaka ten sam co w Tatrach. Wspaniałe motyle lśnią jak klejnoty po połoninach. Buja po ostach biały czerwono czarno nakrapiany apollo i różnobarwne mieniaki. Nad górami unoszą się orły, sępy i inne drapieżce. Wysoko pod kosodrzewiną mieszkają głuszce i cietrzewie, a w partjach bukowych nieprzebrane rzesze jarząbków. W gąszczach przesunie się czasem ryś lub żbik, przemknie trwożliwie sarna. Nad strumieniem wydra na pstrągi i lipienie poluje, po ścieżce przesunie się żwawo wąż, lub pełza leniwo czarno pomarańczowa salamandra. Ale królem tych gór i borów jest jeleń, a obok niego potężna trójka tu panuje: niedźwiedź, dzik i wilk. Niedźwiedź karpacki w obu odmianach czarny i brunatny jest tu u siebie i dostarcza często okazów nadzwyczajnej wielkości i siły.

Wilk karpacki jest plagą, z którą walka wymaga wiele cierpliwości i sprytu ze strony hodowcy-myśliwego. Wojna dała mu pole do popisu w jego bestjalskich i krwiożerczych poczynaniach. Rozpowszechnił się on podczas tej światowej zawieruchy tak, że zdawało się że zwierzyna szlachetna w naszych górach przestanie zupełnie istnieć. Kilkuletnie bezwzględne tępienie jednak tego zwierza-demona zdziałało przecież tyle, że przestał już być plagą niebezpieczną na przyszłość i występuje tylko już sporadycznie. Najwięcej go jeszcze w najdzikszem pasmie Karpat, w Gorganach.

Gdy jesień przyleci do nas na skrzydłach ciągnącego na wyraj ptactwa, gdy rzucać pocznie garściami złota i miedzi na stoki i zręby borów karpackich, gdy zalśnią na nich rubiny malin i ostrężyn granaty, gdy połoniny okryją się tkaną z gogocowych koralików koronką a potoki górskie głośniej szemrać poczną, łowca ogarnia tęsknota i nim on na łowy w góry wyruszy, przed nim tam jego wyrywa się dusza... do tych czarów i cudów, do tych wiecznie zielonych, baśnią prastarą szumiących praborów! Leci tam, gdzie jeszcze niczem ludzkiem nieskażona króluje przyroda, gdzie na cześć dzikiego życia śpiewa puszcza, gdzie wśród pruchniejących pni siłą czasu powalonych olbrzymów na cmentarzach starego wciąż młode i pierwotne odradza się życie, gdzie świt różowemi usty całując szczyty, orły budzi z uśpienia...

Tam mknie też często na skrzydłach tęsknoty dusza moja!...



DR. STAN. KOŹMIAN REJCHER

PIES.

„Czy dola szczęsna, czy skołatana
Przez dzikie ludów narowy
Ten, zawsze strzegąc, stóp swego pana
Żywot dać przy nim gotowy.
Z różnością myśli, wszystko to znosi
Co zdarzą dola niebieska,
Służy najwierniej — o nic nie prosi
Mój że to obraz — czy pieska?“

Trembecki — portret Kiopka szpica faworytnego króla Stanisława Augusta.

Brak kultury — oto był stan ludzkości w początkach jej istnienia, w zaraniu jej bytu na ziemi.

Pies, według podań biblijnych, wcześniej stworzony aniżeli człowiek, był nietylko niemym świadkiem zmagań człowieka o zdobycie kultury, ale dzielił z nim także wszystkie znoje i trudy.

Pies pomagał pierwotnemu człowiekowi zdobyć kulturę.

Czas trwania okresu bezkulturalnego dokładnie stwierdzić się nie da, ale faktem jest niezbitym, że pies był nieodstępnym i wiernym towarzyszem pierwotnego człowieka.

Z pośród wszystkich zwierząt domowych, które człowiek sobie oswoił, względnie udomowił, pies należy do najszlachetniejszych. Szlachetny, piękny koń, którego ludzie poważnym szacunkiem otaczają, nie tworzy bynajmniej wyjątku. Realna wartość konia jest wprawdzie większa, jednak charakter, inteligencja, usługi psa prze-

wyższają zalety konia. W stanie udomowienia pies zajmował, zajmuje i zajmować będzie pierwsze miejsce w gronie naszych zwierząt domowych i czyny psa niczem i przez nikogo zastąpić się nie dadzą. Znaczenie psa w rozwoju ludzkości było wielkie i bez przesady możemy stwierdzić, że historja psa domowego jest cząstką historji ludzkości.

Człowiek bardzo wcześnie zawarł z psem znajomość. Okres ten leży tysiące, tysiące lat wstecz. Nasze dokumenty historyczne zaledwie nikłe światła w okres ten rzucają. Historja, czas, kiedy człowiek i pies pod jednym dachem zamieszkali, da się tylko w przybliżeniu stwierdzić.

Wiadomem jest, że od tysiąca wieków człowiek posiada zwierzęta domowe.

Wiadomem jest, że od tysiąca lat zwierzęta domowe, a między nimi i pies usługi człowiekowi oddają. Maszyna, motor mogły zastąpić człowieka i konia — ale trudno pracę psa zastąpić.

Badania uczonych nad historją udomowienia zwierząt są stosunkowo młode. Praojcowie nasi nie zadawali sobie trudów nad badaniem powstania zwierzęcia domowego. Kwestja ta była dla nich prawie że obojętną i ma się wrażenie, że nad tym spadkiem po swoich przodkach nie zastanawiali się zupełnie, uważając go jako rzecz zupełnie naturalną. Dopiero jakie 150 lat temu ludzie zaczęli pojmować doniosłość badań okresów przedhistorycznych i to nie z ciekawości ale z poważniejszych względów. Łatwiej jest zrozumieć zjawisko i znaleźć wytłumaczenie dla poszczególnych faktów skoro zna się genezę powstania. Słynny francuski przyrodnik ubiegłego stulecia Geoffroy St.-Hilaire wyraził się o stanie nauki powstania zwierząt domowych w te słowa: „Co zrobili badacze przyrody w kwestji historji powstania zwierząt domowych? „Nic! Przymknęli oczy, fakty historyczne pozostawili w cieniu i przeszli nad niemi do porządku dziennego, tak jakby zwierzęta domowe wogóle nie istniały“.

Wspomniany wyżej przyrodnik francuski należy do pierwszych rzetelnych badaczy i historyków o udomowieniu zwierząt. Wprawdzie i przed nim byli chętni badacze nad rozwiązaniem kwestji powyższej, jak Linné — uczony szwedzki, Buffon — francuz, Pallas — niemiec, Gildenstaedt — rosjanin — ale prace ich nie wyszły poza utarte i znane okólniki. Brak im było materjału porównawczego.

Pierwsza połowa XIX w. nie wniosła również dużo światła do kwestji udomowienia zwierząt.

Współcześnik Geoffroy St.-Hilaire, znany uczony francuski Cuvier, twórca anatomji porównawczej, zajął się sprawą zwierząt domowych — ale kwestję zamiast posunąć naprzód zatrzymał ją raczej, gdyż był zażartym obrońcą tezy niezmienności kształtów i form u zwierząt.

Geoffroy St.-Hilaire zwalczał Cuviera, dowodami wykazując, jak dzikie zwierzęta przez udomowienie zatracają pewne ruchy i kształty, względnie zmieniają a to w zależności od dłuższego lub krótszego trwania niewoli. Oswojenie dzikich zwierząt było pierwszym krokiem do udomowienia.

Walka między uczonymi trwała zażarta. aż do zjawienia się na arenie kultury w połowie ubiegłego stulecia, anglika z pochodzenia, nieśmiertelnego Darwina. Teorje Darwina bardzo się przyczyniły do rozwiązania problemu pochodzenia zwierząt domowych ale jak trudne było rozwiązanie tego problemu, świadczą słowa nieśmiertelnego przyrodnika, że długo jeszcze mgłą przykryte będzie ostateczne i prawdziwe zbadanie skąd i kiedy zwierzęta domowe powstały.

Zdanie powyższe Darwina było bodźcem do intensywnych i pracowitych badań, ale jak zawsze prawie, tak i teraz przypadkowi dziejowemu zawdzięcza się, że rozwiązanie kwestji udomowienia zwierząt domowych szybciej naprzód poszło aniżeli oczekiwano.

W roku 1854, anormalnie niski stan wód w Szwajcarji pozwolił zbadać szwajcarskie osady nawodne w warstwach których zależnie od głębokości natrafiano na zabytki domowe przedhistorycznego człowieka. Obok mnóstwa cennych narzędzi i naczyń domowych odkopano także kości ludzkie, kości zwierząt domowych i dzikich. Odkopany obfity i cenny materjał znalazł się w rękach prof. zoologji dra Rütimeyera, który z serdeczną energją zabrał się do uporządkowania i anatomicznego zestawienia całego materjału, posługując się przytem metodą naukową Cuviera, o której wyżej mówiłem to jest anatomją porównawczą.

W roku 1862 prof. Rütimeyer wydał pracę p. t. „Fauna der Pfahlbauten“ jako rezultat prac odkrywczych. Praca ta do dnia dzisiejszego uznaną jest jako najklasyczniejsze dzieło tego kierunku.

Rütimeyer zapoznaje nas w dziełku swojem nietylko z całkowitym obrazem fauny zwierząt dzikich i udomowionych ale czerpać pozwala, jak ze źródła czystego i obfitego dużo poważnych danych ułatwiających badania historyczne powstania zwierząt domowych. Zupełnie zrozumiałem jest, że Rütimeyerowi ciężko było wskazać jakie pielgrzymki odbył dziki zwierz aż do swojego oswojenia względnie udomowienia, gdyż brak było w owym czasie materjału wykopaliskowego przedhistorycznego świata zwierzęcego pozaeuropejskiego, niemniej atoli dzięki powyżej przytoczonej pracy Rütimeyera historja i życie zwierząt domowych szybkim krokiem zmierza ku pomyślnemu rozwiązaniu. Ilość badaczy, zapał do pracy, sumienność i gorliwość poszukiwań wykopaliskowych niepomiernie wzrasta. W Niemczech wsławia się prof. Nehring, w Szwajcarji prof. Keller. Ćwierć wieku trudzi się ostatni by pracę prof. Rütimeyera konkretnemi dowodami poprzeć. Szuka więc Keller dokumentów i materjałów rzeczowych (osteologiczne) w dalekich krajach Azji, Afryki, ożywia literaturę, dzieło za dziełem publikuje. Prace Kellera jako bardzo sumienne i skrupulatne, bardzo śmiałe w ocenie i samodzielne, a przytem odznaczające się żywą i piękną treścią są rozchwytywane. Keller stwarza własną metodę badania, bardzo popularną i przekonywającą — nic więc dziwnego, że zyskuje nietylko na sławie ale i ilość współpracowników i wielbicieli wzrasta. Jednym z najpoważniejszych uczni prof. Kellera jest prof. Kraemer obecnie prof. Uniwersytetu w Giessen, którego praca p. t. „Die Haustierkunde von Vindonissa“ daje dokładny obraz świata zwierząt domowych Szwajcarji z czasów rzymskich.

Przytoczyć nazwiska wszystkich ówczesnych badaczy uważam niezupełnie za konieczne — ograniczę się tylko do podania tych, którzy pracowali nad historją powstania psa domowego. Byli to: Anuczyn — rosjanin, Jeitteles — austrjak, Woldrich — czech i dr. Studer — szwajcar.

Z powyższego widzimy, ile ludzi cały trud swojego życia oddało badaniu historycznemu psa udomowionego. To napozór nic nie znaczące zwierzę, skromny twór Boski — do dzisiejszego dnia zaprząta umysły poważnych badaczy życia zwierząt.

Dlaczego? Gdzie leży przyczyna?

Piękną odpowiedź na te pytania daje X. Krzysztof Klug, nieśmiertelny autor dzieła „o zwierzętach“. „Pies, powiada Klug, jest to ów zwierz między wszystkiemi najbardziej kochający swego pana. Posiada wszystko co go ludziom ulubionym czynić może: łagodność, skłonność przyzwyczajenia się do człowieka i żądzę podobania się.

Łatwiejszy jest do nauczania się, jak człowiek, i posłuszniejszy swemu panu nad inne zwierzęta“.

Przedhistoryczny człowiek oswoił psa dzikiego i zrobił z niego towarzysza doli l niedoli.

Dzisiaj pies w domu służy bądź, jako rozrywka, czasami jako stróż lub obrońca, lub pomocnik na polowaniach — lecz dawniej było inaczej.

Człowiek przedhistoryczny i w początkach kultury był ciągle narażony na niebezpieczeństwa. Mieszkając w dzikich, nieprzebytych kniejach, otoczony i napastowany przez dzikie zwierzęta — miał psa, który jak nikt z otoczenia człowieka, rzucał się zażarcie na nieprzyjaciela. Uprzedzał swym psim instynktem człowieka w jaskini lub w borze ciemnym i głuchym o zbliżającem się niebezpieczeństwie, a w chwili ataku nieprzyjaciela wiernie stał, jako obrońca, przy boku swego pana.

Pies zdobył człowieka swoją wiernością.

Któż nie zna wierności psa? Czyż można nią się nie zachwycać?

Ludzie, narody wprost bałwochwalczo czcili i czczą wierność psa, najdobitniej wykształconą cechę jego charakteru.

W antropologji Taylora (str. 227) czytamy, że Indjanie Ameryki pólnocnej na biesiadach przedwojennych zjadali psy jako godło wierności.

Syn wieszcza naszego Władysław Mickiewicz w pierwszym tomie swych pamiętników podaje zdarzenie z życia nieśmiertelnego ojca swojego. Otóż opowiada, że razu pewnego rozprawiano o granicy władzy jaką człowiek mieć może nad zwierzętami, a ojciec jego wtedy rzekł, że niektóre zwierzęta więcej są warte niż ludzie. Przypomniał, że gdy Ulisses wrócił do Itaki, tylko pies go poznał i dodał: Gdyby mi proponowano pobyt na ciężkiej wyspie z psem lub ks. Talleyrandem z pewnością bym powiedział: Talleyrand będzie się starał uwolnić moim kosztem — pies zaś przyniesie mi zdobycz z polowania, będzie mnie bronił jeżeli mnie tubylcy napadną. Wybierzcie więc Nowozelandczyka (prawdopobnie mowa o Nowofundlandczyku) lepiej niż dyplomatę, a będziecie mieli rację.

W literaturze pełno jest pochwał i trafnych ocen charakteru psa.

Mikołaj Rej mówi: „Czego ani pies, ani świnia, ani żadne zwierzę nie uczynili, aby miało zrzeć, kiedy mu się nie chce, jako naszy czynią iż dzbanem leją w się, aż mu po uszach ciecze, a oczy ze łba dobre nie wyłażą“.

Tenże Rej dalej powiada: „i psa tego głaszczemy i karmiemy — ale jeden Wam w myśliwstwie pożyteczny, a drugi w nocy domu strzeże, a we dnie za kozami dybie“. Dodam, że psy Reja wabiły się: Pożar. Zalas, Nieprosz, Kruczek, a nie jak to dzisiaj słyszymy: Prinz, Lump, Greif i t. d.

Zienkowicz w „Wieczorach Lacha z Lachów czyli opowiadaniach przy kominku“ przytacza, że na grobowcu Władysława Jagiełły psy i ptaki są wyobrażone, kiedy innym królom lwy zwykłe dodawano.

Stan. Wasylewski w pracy „Klasztor i kobieta“ podaje, że św Dominik. gdy w Pirenejskim lesie panny Cysterki pod pieczą osadził rzekł im „bądźcie tak wierne Bogu, jak pieski są człowiekowi“.

Imiona jakie psu nadawano i nadają dowodzą o wdzięczności człowieka i poszanowaniu jakie on zażywa.

Człowiek epoki kamiennej, jaskiniowiec, pierwszy posiadacz psa udomowionego według wszelkiego prawdopodobieństwa imienia psu nie dawał, przynajmniej żadnych dokumentów w tym kierunku nie posiadamy.

Dopiero w początkach kultury pies otrzymuje imię. Pierwsi, którzy psom imiona dali — według historycznych dokumentów byli egipcjanie. Na kamieniu grobowcowym starego króla Entefa wyryte są imiona czterech psów jego: Behkae, Pehteg, Tekeru i Abagera. Ciekawe jest, że imiona są nie egipskie, tylko staro-greckie.

W opowiadaniach Homera pies Odyssa nazywał się Argos.

Wraz z nadaniem imienia psu następuje, że tak powiem, cywilizacja psa. Zaczyna się nowa era w jego życiu.

Słynny dzisiaj Barbusse w jednej z ostatnich nowelek swoich p. t. „Imię w przepiękny sposób ujmuje nadanie imienia psu“. Opowiem.

W laboratorjum doświadczalnem jest 223 psów bez imienia tylko numerami oznaczone, a każdy z nich według przeznaczenia ma być poddany wiwisekcji. Pies numer 223 ma za chwilę służyć okrutnemu doświadczeniu. Służący otwiera klatkę i chwyta psa — ale tak niezgrabnie, że pies 223 zamiast znaleźć się na stole wiwisekcyjnym — jest na wolności no i skacze radośnie po laboratorjum. Profesor się oburza, niecierpliwi a służący chwycić go nie może. Wpada służącemu myśl i woła „Medor — tu“. Choć pies był imienia nieznanego ale usłyszawszy imię przystanął, stał się innym, był jakby cudem odmienionym — dał się chwycić. Przypadek dał mu imię, gdyż dotąd był tylko Nr. 223, jakimś ciemnym organizmem. Teraz stał się nagle osobną jednostką. Stał się samym sobą. Teraz miano zobaczyć, że on żył jak każda inna osoba żyjąca. Imię pokazało go takim jakim był, ze wszystkiem co posiadał. Ukazało jego niejasny sposób milczenia i ten cały ubogi skarb wspomnień: jego przyjaciół i jego całą przeszłość.

Historja psa od dnia jego udomowienia aż do obecnej chwili to jedna piękna, najwspanialsza wstęga pracy, wierności i rzetelności. Pies nigdy nie zdradził człowieka, ani pokładanych w nim nadziei. Jestem przekonany, że gdyby człowiek do człowieka tak szczerze się odnosił jak pies do człowieka, wtedy świat dzisiejszy byłby innym, byłby szlachetniejszym, a życie ludzkie byłoby doskonalsze i piękniejsze.

C. d. n.



ALBERT MNISZEK

NIESAMOWITY MIŚ.

W zachodnio-południowej części Skolszczyzny, mianowicie w gminach Różanka i Rożaneczka, po futorach chłopskich, rozrzuconych zwyczajem karpackim wśród borów i gór, u schyłku ubiegłego lata ludność ogarnęła panika.

Znany w tamtejszych borach od lat wielu olbrzymi niedźwiedź zaczął wobec dobytku górali występować niezwykle agresywnie.

Wybijane bydło, pasące się po połoninach, szkody w ziemiopłodach stały się codzienną igraszką groźnego zwierza, aż wreszcie zdarzył się krwawy dramat, w której rolę ofiary odegrał jeden z tamtejszych górali.

Smutny ten incydent opisałem w październikowym numerze „Łowca", po zasięgnięciu jednak późniejszych informacji od ludzi wiarogodnych, rzecz ta przedstawia się w szczegółach nieco odmiennie, opowiem więc raz jeszcze to zdarzenie.

Wspomniany góral miał kawał dojrzewającego owsa pod lasem, ogrodzony kolczastym drutem, opodal swej budki, gdzie nocował. Rankiem zobaczył on w środku swego łanu niedźwiedzia zajadającego owies i robiącego w nim spustoszenia. Góral przeskoczył druty i krzycząc i rzucając grudy ziemi w misia, starał się w ten sposób pozbyć się nieproszonego gościa. Miś mrukiem i prychaniem reagował na te zabiegi, psujące mu śniadanie, ale zupełnie ustępować nie myślał. Kmiotek wtedy powziął nieszczęśliwą myśl. Skoczył do ogniska, wyrwał z niego palącą się głownię jedliny, wrócił napowrót do owsa i rzucił nią w niedźwiedzia, a uczyniwszy rozpaczliwy ten wysiłek uratowania swego dobytku, widząc, że zwierz idzie do niego, starał się przeskoczyć druty i ujść jego pazurów. Niestety, chwyciły go one, nim zdołał to uczynić. Zwierz obszedł się z nim straszliwie. Zdarł mu skórę z czaszki, pogruchotał mu kości w obu rękach, wgryzł mu się kłami w ramię, wydzierając je całkowicie, otworzył mu klatkę piersiową, wyrzucił go jak piłkę w górę, wreszcie przedarłszy go przez druty, a sam przez nie przeskoczywszy, zaniósł go do pobliskiego okopu (śladu wojny światowej), ułożył go w rowie i po dość długiem nadsłuchiwaniu czy ofiara jeszcze żyje, nakrył ją suchemi gałęziami i oddalił się. Szczegóły tu podane, wyjęte są z ust górala, który w całej tej strasznej rozprawie na chwilę choćby przytomności nie stracił. Opowiadał on, że, rzucony w powietrze przez zwierza, leciał w powietrzu dobre pięć minut. Jakiś, widać specjalista balistyk, z personelu administracji w Skolem obliczył zaraz, że

MISTRZ - ROTMISTRZ

Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało...

(Ciąg dalszy)

Święty Hubercie, który z nieba łaskawym patrzysz okiem na wszystkie czyny Twego wiernego wyznawcy, przyjm moją Anulę pod Twą świętą opiekę. Błogosław jej, czuwaj nad każdym jej krokiem. Ja Ci w dank za to sługą wiernym będę choć u stóp Anuli legnę, choć jej dozgonną zaprzysięgnę miłość, nie odmieni się dla Ciebie serce moje. To Święty nasz Patronie, każdy mój czyn łowiecki na Twoją cześć, każdy strzał.

Anuli damy łupy, za Twoją łaską zdobyte. Więc futra miękkie i ciepłe, więc soczyste mięsiwa do śpiżarni, i barwne pióra do strojów.

Mam wrażenie, że cięższej pzzyjdzie zachować sobie łaski nadobnej Artemidy. Ona bowiem nie znosi obok siebie drugiej niewiasty. Lecz co mi tam, jakoś się to zrobi. Od czegoż chytrość i przemyślność łowiecka.

Wytłómaczę jej, że Diana, to po niemiecku mówi się „die Anna", a po polsku Anula się wabi. Kochając się więc w Anuli, ją tem samem mam tylko na myśli, ją tylko czcić pragnę, choć pod inną postacią.

Że zaś boginka owa. nie z wysokiego nieba patrzy, lecz znacznie niżej mieszka, bo na Olimpie, nie dostrzeże może szalbierswa i nadal mnie obdarzać zechce swoimi łaskami...

. . . .

Tak sobie dumam na pokładzie, odpoczywając po trudach myśliwskich i słodki przystęp dając do serca mego nowemu uczuciu. Moje kolibry i inne cudowne ptaszyny, jazgoczą na wyścigi, a mnie się wydaje, że one wraz ze mną hymn śpiewają na cześć nowo rodzącego się uczucia.

Podróż morską mamy cudowną.

Morze leży przed nami szafirowe, równe jak tafla, a tak przeźrocze, że widać całe tajne życie przyrody, na dnie morskim kipiące.

Zdałby się jednak jakiś wietrzyk. choćby maluśki, bo nasz statek, dość niezgrabny, ociężale się posuwa. Przy jakim takim zaś wietrze, można by pomóc słabej maszynie, rozwijając żagle.

Rozważywszy wszystkie pro i contra, powziąłem zamiar dotrzeć do któregokolwiek bądź z większych portów zatoki meksykańskiej. Tam zdać moje ptaki, na parowiec idący do Europy, a mając w ten sposób rozwiązane ręce, złożyć sobie nową karawanę.

Tak wyekwipowany, po przez prerje południowych stanów, gdzieś łapać zamierzam potrzebne mi bizony i użyć na polowaniu na nie, dotrzeć do dziewiczych borów północy, kędy srogi grizly bear króluje i gdzie godowym rykiem łoś amerykański, mors, ciszę pralasu mąci.

Lecz homo propo̸sit, Deus disponit. Jakżesz inaczej zrządziły losy!

Już od samego rana, zauważyłem jakiś niezwykły ruch wśród służby okrętowej. Majtkowie podniecani głośnemi rozkazami kapitana, krzątali się żywo, czyniąc rozliczne, dla mnie niezrozumiałe przygotowania.

Zapytałem starego wilka morskiego o przyczynę.

Źle panie — powiada, — ta cisza, ta niezwykła parnota, niedobrze nam wróżą. Spojrzyj pan na te czarne chmurki, gromadzące się nisko nad horyzontem. To zwiastuny burzy. Że zaś znajdujemy się w strefie, gdzie w tej porze roku, panuje groźny wicher „tornado", możemy mieć ciężką przeprawę, zwłaszcza że ten Remember to Anna, to stare pudło, nie wiem czy długo wytrzyma napór fal i siłę wichru.

Chciałem wyrżnąć po pysku prawdomownego marynarza, za nazwanie Remember to Anna starem pudłem, alem się w porę zmitygował, że przecież poczciwe kapitanisko Anuli nie zna, więc jej ubliżyć nie może.

biedny góral tyle minut lecąc, musiałby przebyć przestrzeń powietrzną 2700 metrów.

Ofiara kłów i pazurów niedźwiedzia miała tyle nadludzkiej siły, że w jakiś czas po odejściu jego, pozbierała się i dowlokła do najbliższej osady, skąd w transporcie do szpitala do Lwowa w drodze na stacji kolejowej Piaseczna, Bogu życie oddała.

Po strasznym tym dramacie wydano na mordercę wyrok śmierci. Szukano go z bronią w dłoni, zastawiano kilkadziesiąt żelaz.

Niedźwiedź chwyta się w nie dwa razy, raz uwalnia się z nich, zsuwając je z nogi i tracąc przytem dwa pazury, które obok porzuconego żelaza znaleziono, drugi raz uwalnia się, rozbijając je o kamień. Podłazi już ostrożnie i wyszukując nastawione żelaza, rzuca na nie kłodami i kamieniami, powodując ich zaskoczenie. Usłyszawszy dźwięk zaskakującego samotrzasku, spożywa już bezpiecznie podrzuconego mu konia. **Zjadł on 26 koni do końca października r. z.** zupełnie bezkarnie.

Górale w rozpaczy i strachu o swoje owsy, utwierdzają w nocy na słupach płonące lampy naftowe. Niedźwiedź, przyszedłszy do szkody, porywa przedewszystkiem te płonące przeszkody i uderzeniem o ziemię gasi i tłucze w kawałki.

Myśliwy w Rożance urządza na niedźwiedzia czatownię nad padłem. Niedźwiedź, jak później na śladach stwierdzono, urządza sobie punkt obserwacyjny na przeciwległem zboczu pod wachlarzami młodocianych jodeł i stamtąd bada sytuację. Widzi myśliwego, wychodzącego na czatownię, czeka do rana, widzi myśliwego schodzącego po drabinie z czatowni, czeka czas jeszcze jakiś, następnie obszedłszy w krąg daleki padło, i ujrzawszy lub zwietrzywszy ślady wychodne człowieka, udaje się spokojnie na ucztę.

To nie są bajki, opisane przezemnie zdarzenia, choć wyglądają może i nieprawdopodobnie. To są fakty stwierdzone przez wiarogodne i poważne osoby z administracji dóbr skolskich.

Gdy Wł. hr. Zamoyski w Sołotwinie Mizuńskiej (graniczącej ze Skolem) ubiwszy jelenia podczas tegorocznego rykowiska i wróciwszy do koleby, posłał ludzi do obielenia byka i przyniesienia mięsa, ten sam niedźwiedź już siedzi na jeleniu i przyjmuje ludzi groźnemi oznakami niezadowolenia. Ci rozlatują się jak piłki, jedni kładą się na ziemi, inni uciekają na drzewa, wołając ratunku. Niedźwiedź wynosi się po czasie i już nie przeszkadza. Ludzie, skończywszy pracę, niosą mięso i skórę do koleby, ale w ślad za nimi postępuje miś i odprowadza ich niemal do drzwi myśliwskiego domku.

Niesamowity doprawdy zwierz siał panikę do swego

Małe, przez kapitana mi wskazane, jeszcze niedawno zaledwo widoczne chmurki, obłoczki raczej, zbierały się tymczasem, w coraz liczniejsze gromady. Morze, choć wiatru jeszcze nie było, zmętniało jakoś nagle i drgnęło, a równa dotąd jego powierzchnia, pofałdowała się, kolebając statkiem to w prawo to w lewo. Najzupełniej nagle zahuczał wicher. Uderzył w statek raz i drugi, zawył w linach i rejach, zmącił toń wodną i ucichł. Lecz nie na długo.

Uderzenia się powtarzają, coraz gęstsze, coraz gwałtowniejsze.

Chmury granatowe, o rudawym po brzegach połysku, zakryły już większą część nieba. Już zgasło słońce, a szara pomroka pół horyzontu ukradła.

Już nie wicher, ale huragan targa naszym statkiem, że drży cały i trzeszczy we wszystkich fugach, jakby się rozlecieć chciał. Remember to Anna piętrzy się co chwila, jak koń w dęba staje, to znów w bezdenne zlatuje doliny. Fale z hukiem piekielnym zalewają pokład, okręt kołysze się tak gwałtownie, że z trudnością tylko utrzymuje równowagę. Wszystkie luki i otwory zabite na głucho, wszystko co ruchome, na moc poprzywiązane linami.

Na świecie zrobiło się całkiem czarno. Rzekłbyś noc zapadła wśród białego dnia. Niebo jakby się nagle zniżyło nad statkiem, że maszty chmur dotykać się zdają. Wicher dmie coraz to potężniej, fale ku niebu się piętrzą i raz po razu wpadając na pokład, zmiatają z niepojętą siłą, wszystko co im opór stawia.

Trzasnął w spienione morze, piorun jeden i drugi, zachichotał piekielnie wszechmocny tornado, jednym zamachem zmiotła fala duże klatki moich kolibrów. Zagrzmiała niebieska artylerja huraganowym ogniem, ciemne niebiosa znacząc nieustannemi gzygzakami piorunów. Otwarły się opusty dżdżowe, zalewając pokład wód potopem, istne góry wody przewalają się, niosąc zagładę i śmierć.

Poszły znów na dno, dwie skrzynie ze skórami cennemi zwierząt przezemnie ubitych. Dwóch majtków zmiotła fala bez ratunku. Z tylnego i środkowego masztu pozostały tylko drzazgi, ster rozłamał się na dwoje...

. . . .

Trzy dni i trzy noce, walczył stary weteran, Remember to Anna, z coraz potężniejącym orkanem, trzy dni zmagał się dzielny kapitan i jego załoga, z żywiołowemi siłami przyrody.

Okręt pozbawiony masztów i steru, stał się igraszką rozszalałych bałwanów.

Kapitan stracił władzę nad statkiem, zmordowana nadludzkim trudem załoga, opuściła ręce i upadła na duchu. Każdy już tylko o własnem ocaleniu myślał. Lecz jakżesz małe były nadzieje, że złowrogiemu ujdziemy losowi.

Część załogi, wbrew zakazowi kapitana, spuściła szalupę, kładnąc w niej ostatnią nadzieję ocalenia. W naszych oczach, porwały rozhukane fale marną łupinę, rzuciły nią o burtę statku, strzaskały, a wszyscy co w niej siedzieli, utonęli.

Pozostali jeszcze przy życiu majtkowie, kapitan i ja, uwiązaliśmy się wzajemnie do szczątków masztów, od Boga już tylko wyglądając ratunku i w głos się modląc o ocalenie.

Nagle olbrzymia fala, wyniosła wysoko pod niebo skołatany nasz statek, i z szalonym rozmachem grzmotnęła nim w dół. Rozległ się ogłuszający trzask, pękły okrętowe wiązadła, krzyk zgrozy pełny, tonących ludzi uderzył ku niebu, a potem nagle śmiertelna cisza.

Tylko tornado wył potępieńczo, tylko pioruny biły na ostatnią godzinę ludziom, co w tej chwili przed Stwórcy obliczem stanęli.

C. d. n.

snu zimowego po futorach Rożanki i Sołotwiny. Potrajał się on w umysłach górali, widzeli go już w kilku na kilometry oddalonych od siebie punktach równocześnie.

Bądź co bądź, biorąc rzecz całą spokojnie, przyznać się musi, że niedźwiedzia tego obdarzyła przyroda nadniedźwiedzią inteligencją.

Jedno rodzi się w mej myśli przypuszczenie, ale tylko przypuszczenie, choć zdaje mi się mające powody logiczne. Przed wojną właściciele Skolego baronowie Groedlowie, chcąc uratować, zamierający już tam zwierzostan niedźwiedzi, sprowadzili kilka młodych niedźwiadków, zakupionych po menażerjach i u wędrownych cyganów w Siedmiogrodzie i puścili na wolność wśród lasów. Z takim oswojonym niedźwiadkiem zaszedł tam w tym czasie wypadek przykry. Mała dziewczynka szła gościńcem pod samem Skolem, niosąc w koszyku uzbierane poziomki czy maliny. Niedźwiadek taki na jej nieszczęście wyszedł z boru i grzał się do słonka nad gościńcem. Ujrzawszy dzieweczkę i poczuwszy jagody, zeszkoczył na gościniec, odebrał dziewczynce owoce, a ona ciężką chorobą nerwową przypłaciła to spotkanie.

Dzisiejszy ten straszny „maneater“ skolski czy to nie jeden z tych dawnych oswojonych niedźwiadków i dlatego ludzi się nie boi?

Jakkolwiek rzecz się ta ma, faktów dzisiejszych nie zmienia. Zwierz ten krwawy stał się w górach skolskich postacią nadnaturalną. Żywa fantazja ludowa dosnuje może teraz starą legendę o sławnym rozbójniku Doboszu, która, choć przetrwała wieki, zawsze jest jeszcze tak żywą w Karpatach. Każe ona może pokutującej jego duszy wcielić się w niedźwiedzia, a baśń ta stara tak przybrana, w nowe pójdzie stulecia. Będzie ten miś może legendarną postacią wielkości Paraszki*) z gorejącemi ślepiami. Góralki straszyć nim będą niegrzeczne swe dzieci. Dla badaczów przyrody i psyche zwierzęcej będzie w każdym razie fakt tej niezwykłej inteligencji niedźwiedziej zjawiskiem bardzo interesującem.



*) Paraszka, jeden z wyższych szczytów w Bieszczadach (część Karpat).

Dr. A. RUCZKA

SPOSTRZEŻENIA O WILKACH

Ciąg dalszy

W promieniu jakiej pół wiorsty, odezwały się jeszcze dwa takie. Po godzinie odezwały się z tyłu za mną, w połowie drogi między wsią a mojem stanowiskiem, i na to zawtórował im cały chór wiejskich kundli, który ostatecznie umilkł dopiero wtedy, gdy księżyc był w połowie nieboskłonu i sosny nie rzucały na nęcisko cienia, a więc dobrze po północy.

Do rana oprócz lisa nie widziałem nic więcej, a o piątej przy zmianie placówek, odwiozły mnie sanie na kwaterę. Następnego dnia musiałem służbowo wyjechać, a na wyjezdnem dowiedziałem się, że w nocy, wilki porwały u jednego z dalszych sąsiadów, świnię.

Na trzeci wieczór o godzinie szóstej drapałem się znów na swoje stanowisko i tu przesiedziałem do piątej rano, a oprócz dwu lisów z niewielkim apetytem zabierających się do padliny, nic nie widziałem. Ale, że w to przedsiębiorstwo włożyłem już za dużo pracy i dwie nieprzespane noce, postanowiłem hazardować do skutku.

Czwartego wieczora już o godzinie piątej siedziałem na zarekwirowanym fotelu.

Ciepły słoneczny dzień poczernił wiele nowych kopiaków i pni, ale księżyc szedł w pełnię, tło śnieżne całe, więc strzał śrutem pewny.

I ta noc oprócz lisów, nic godniejszego widoku, nie przyniosła.

Na piątą noc wybierałem się już nie tyle może zniechęcony, ile bez wielkiej nadziei. Przez dzień poprzedni, zachmurzyło się, przypadł lekki śnieżek a było o tyle mroźno, że połatał wszystkie dziury i dawał obietnicę dobrego światła zwłaszcza po północy.

Rozsiadłem się gdzieś około ósmej wygodnie w fotelu i zapaliłem fajkę. Niech się tym strasznym czynem czytelnicy zbytnio nie gorszą, bo czas był bezwietrzny, stanowisko wysoko i w równinie, a podczas ciszy i zamarzłej ziemi, dym zawsze unosi się w górę.

O ile się także potem przekonałem, zmysł węchu u wilków stoi na trzeciem miejscu, po słuchu i wzroku. Nie minęło pół godziny od wypalenia fajki, gdy usłyszałem w plecach t. j. od wsi, wielokrotny tętent, przechodzący w chrzęst sprawiany jakby kilku parami nóg, który zmieniony w powolnego kłusa, rozszalał w jakieś szamotanie się i warczenie w głuchym skowyczącym charkocie. W tej chwili wypadł między ścierwa końskie tuż z pod mego stanowiska, wilk, zupełnie jak pokąsany pies z podwiniętym ogonem, i odwrócił się na połeć, spoglądając na niewidzialnego dla mnie, swego rywala. Nie chciałem ryzykować z długiej obserwacji i ściągnąłem cyngiel. Na strzał przybiegli żołnierze z placówki i odwieźli mnie na kwaterę. Wilczek był roczny, z porwanemi uszami i wargami, z ran kąsanych ciekła nieskrzepła jeszcze jucha. Ponieważ jednak przed żarciem się, słyszałem tętent wielokrotny, postanowiłem zbadać za dnia ile ich było. Pokazało się, że wilków było trzy, jeden stary i dwa młode. Z początku krążyły pod wsią, ale zdaje się z małemi szansami na żywy łup, i dlatego przypomniały sobie ponętę, która wprawdzie zimna ale doskonale skruszała, drażniła nieprze-

parcie powonienie. Stare doświadczone, a może tylko bardziej nieufne wilczysko, zatrzymało się celem dokładniejszego spenetrowania dostępu. młodsza krew poszła na zęby o przystęp do uczty i jakto zwykle bywa, słabszy padł ofiarą

Następnego dnia wypadła mi znowu podróż służbowa i bez wielkiego żalu, rozstałem się na krótki czas z mym fotelem, a to w myśli, że po klęsce wilki nie wnet u koniny zagoszczą. Już w pierwszym dniu mojego objazdu, przeciąłem trop dwu wilków, starego i młodego, z pewnością ze znajomej trójki, (bo jeden jeszcze miejscami farbował) w odległości jakichś 20 wiorst od nęciska. Na objazd dwudniowy wyjechałem sańmi, a powróciłem wozem. Już pierwszego dnia roztajało na dobre, ale wiatr pociągający od zachodu, naganiał mgły, które opierzały brzozy i olchy srebrzystą szadzią. Dobra nasza, myślę, mróz za pasem i już nie tak łatwo ucapisz cichcem zająca w zapłociu, lub pod poszumem wiatru wywleczesz świnię z niedopartego chlewa.

W samej też rzeczy zmarzło trzeciego dnia na grudę, a po południu zaczął ciąć wicher falami śniegu. Nad wieczorem rozszalał się w śnieżny orkan i nastała dwudniowa zadymka Nie było mowy o zasiadce, więc też czytałem lub pisałem w zacisznej kwaterze, oczekując przesilenia.

Na trzeci dzień przy spokojniejszym nieco powietrzu, wybrałem się na zwiady. Mój cel z takim mozołem sklecony i utwierdzony, leżał w drzazgach na śniegu, a wicher poroznosił deski po całej równinie. Z dziesięciu koni, na miejscu ani śladu. Tylko tu i ówdzie w promieniu jakich 500 metrów, sterczące gnaty końskie, porozciągane na wszystkie strony, świadczyły o licznym uczestnictwie w ucztach, pod osłoną nocy i śnieżnej wichury. Tego nie obliczyłem, że trzeba w jakiś niepostrzeżony sposób, ponętę umocować i w braku tej ostrożności, nęcisko moje, zwiększyło wielokrotnie powierzchnię. Ile tam nóg końskich, łbów i łopatek, zawlekły wilki w trzciny, niedotropiłem. Całe nęcisko było na długi czas zniszczone, a od nowa rozpoczynać nie miałem już czasu tembardziej, że lada dzień, oczekiwało mnie przeniesienie Postanowiłem przecież ostatnie dni wyzyskać, objeżdżając jasnemi nocami okoliczne drogi i przesmyki.

Podczas tych wycieczek, prawie każdej nocy, widziałem wilki, ale w przyzwoitej odległości i tylko jeden raz spotkałem wilczura siedzącego przy drodze, przepłacił też życiem swoją głupią ciekawość. W tym czasie, stało się moje przeniesienie rzeczą dokonaną i w jakiś tydzień potem opuściłem Polesie. Powróciłem znowu w ukochane góry, których nie widziałem lat sześć. Powróciłem do miejsca gdzie stał kiedyś mój dom, z końcem grudnia. Śniegi leżały dobre, t. j. takie w sam raz dla myśliwstwa, a łaskawa aura, często zmazywała białe tablice, nie utrudniając przytem zbytnio chodów. Przez całą zimę, t. j. dopóki biały całun ścielił zmarzłą ziemię, nie widziałem na przestrzeni jakich 40.000 morgów ani jednego tropu wilczego, ani jeleniego. W swoim rewirze o powierzchni około 4.000 ha miałem trzy sarny. Tej ani następnej zimy nie przeciął mój ślad w naszych górach, tropu wilczego. A schodziłem grzbietów, działów, uboczy i siodeł bez miary za dwunożnymi wilkami. Niejeden pokazał mi zęby, ale jakoś kąsałem tylko ja. Gdzieś z wiosną w pierwszych trawach doszły mnie wieści, że w okolicznej wiosce górskiej, wilk porwał barany. Od tego czasu coraz częściej zaczęły się szerzyć skargi na szkody, czynione przez wilki i nadtem rozmyślając, przyszedłem do przekonania, że nie robił ich jeden, ale conajmniej cała rodzina. Wschody słońca i gwiazd wieczornych, witały mnie na przesmykach, zachowanych w pamięci wiekowych łowców. Długie miesiące na darmo. Ale też i liczne przedtem strzały o zmroku i świcie coraz bardziej rzadły, aż prawie ustały zupełnie. Pańskie oko konia tuczy.

Raz w czerwcu, w porze kiedy senne doliny, drzemały jeszcze pod zwałami mgły, a granatowe szczyty, przysiadły na nich, konturując się na tle świtania, uderzył we mnie chrapliwy szczek kozła, jeden, drugi i trzeci, — na uboczy. Poświata nikła, ścieląca się na srebrzystozielonych zroszonych kiściach owsów, dawała na tyle mocy szkłom myśliwskim, że mogły już wcale dobrze odróżniać. W odległości jakich 300 metrów na podniesionej zboczy, zarosłej lichym górskim owsikiem, stał ryży kozioł, zwrócony ku szyi, wybiegającego w górę parowu, zarosłego gęstą smereczyną. Parów wolny po flankach, dawał doskonały obzór, Z początku myślałem, że to mój pot tak drażni koźle powonienie, przywykłe do miłego zapachu koniczynki. Trudno, nie zawsze można stać pod wiatrem, zwłaszcza przed wschodem słońca, kiedy stale pociąga w dolinę. Zachowanie się kozła, zastanowiło mnie tembardziej, że mimo złego wiatru, rwał w skokach wprost na mnie, przerywając głuchy tupot, chrapliwym szczekiem. Musiało więc coś innego, obrażać zmysł jego wzroku, Wlepiłem szkła w wylot wąwozu, obramowawanego rzadkiemi olchami i na moment miałem złudzenie, że między niemi, przewinęło się jakieś długie płowe ciało. Tymczasem kozioł przeszedł przez owsy i zniknął w gąszczu, znacząc swe chody ostrzegawczym sygnałem. Postałem jeszcze może z pół godziny, lustrując dokładnie, obie flanki parowu.

Zupełnie nie myślałem o wilku, i już na odchodnem, rzuciłem przez szkła okiem, na kilkudziesięciomorgową polanę, spadającą, północnym stokiem o jakie 1000 m przedemną. W kole widzenia zobaczyłem wyraźnie, ogromnego wilka, kłusującego wolnym truchtem na ukos. Zdawało mi się wtedy, że łeb miał wielkości konewki. Zachowanie się kozła zrozumiałem w ten moment. Zbiegłem więc coprędzej ku szyi parowu, i po mozolnym szukaniu, znalazłem na ścieżce rozdeptanej przez bydło, ogromny ślad kilkakrotny. Brakowało mu u prawej przedniej łapy, końca czwartego palca.

To spotkanie, zaostrzyło jeszcze bardziej moją baczność w rewirze, ale nie znalazłem aż do zimy, ani jednego podpisu.

W tym to czasie zamierzył Inż. P. B. dobry znawca tego szkodnika, wcale dowcipnie pomyślany, ostrożny wygląd, na przesmyku, dawniej stale używanym przez wilki w sąsiednim rewirze. Że nowi przybysze używali utartych (raczej zatartych) dróg swoich pradziadów, dało się z łatwością odcyfrować.

Na takim to przesmyku wybudowano szczelną chatę, dobrze zamaskowaną, w której można było od biedy nawet spać. Z tejże zstępowało się w podziemny korytarz, przebiegający 100 metrów wzdłuż szumiącego potoku. Korytarz ten w samym końcu rozszerzał się w ziemiankę, o tyle nad poziom ziemi wystającą, że głowa na podłodze stojącego myśliwego była na linji 2 okienek, przez które widziało się dokładnie wolną przestrzeń 70 kroków długą, 40 szeroką. Okienka umieszczone były 20 cm, a pułap 35 cm nad poziomem łąki. Między okienkami klapa do strzału, otwierająca się do wewnątrz na rzemiennych zawiasach. Wszystko razem dobrze zamaskowane. Po lewej stronie patrzącego, gęsty smerekowy 10-cioletni zapust, po prawej i w głębi, prastary drzewostan jodłowy.

Wiatr wiał potokiem z góry na dół. W ziemiance mogło siedzieć wygodnie dwu myśliwych. Urządzano się jednak tak, że ten na którego wypadła kolej, siedział w ziemiance, czekający na kolej, spał okutany we futra w dobrze zaopatrzonej chacie. Zmiany zaprowadzono według zegarka, a wyściółka podziemnego chodnika, z grubej warstwy mchu, dawała możność poruszania się bez najmniejszego szelestu tembardziej, że wszystko krył szum potoka.

Mimo to jednak, pierwszej zimy, chociaż była z ostatnich najostrzejsza, a uczty suto zastawione, wilków przy nęcisku nie było.

Tejże to zimy, poraz pierwszy spotkałem trop trzech wilków w moim własnym rewirze. Była cicha odwilż, pieczętowały się wyraźnie, poznałem więc znajomego bez czwartego palca.

C. d. n.

Szlachta drobna na Polesiu

Z pamiętników i notat ś. p. J. Glucińskiego.

(Ciąg dalszy)

Zaznałem ja jeszcze tego króla cygańskiego, był wysokiego wzrostu, kościsty, chuderlawy, twarz miał ściągłą, bardzo pomarszczoną, oczy żywe, nawet jak to mówią ogniste, przenikliwe choć był stary, a włosy miał czarne kędzierżawe, krucze, mało co miał siwizny i brodę obfitą miał czarną na głowie nosił czapkę w kształcie jakby korony, tylko bez krzyżyka, suknię długą czarną, obwisłą aż do kostek, przepasaną czarnym pasem i czerwone buty, na szyi miał łańcuch z białych paciorków, zwieszający się aż na piersi, a na którym wisiało wyobrażenie niedźwiedzia z małpą na nim siedzącą w czerwonej katance. Był bardzo poważny, wszyscy go też cyganie poważali i bali się, bo choć był sprawiedliwy, po djablemu występnych karał, a mówiono że też ma siłę djablą. I niedźwiedzie się jego bały, i tylko by wszedł do maneżu, choćby najzuchwalsze niedźwiedzie do posłuszeństwa wracały, a skromniutkie były jak trusie; dość było gdy złapał niedźwiedzia za ucho i potrząsnął, to niedźwiedź na gwałt zaryczał, a raz go tylko batogiem pociągnął, to niedźwiedź ledwie ze skóry nie wyskoczył. Książę Karol panie kochanku, nieraz mu wydawał rozkazy na piśmie, bo też to był człek nawet piśmienny albo czynił przedstawienia na dygnitarzy, to tak do niego pisywał: Królu cygański, panie miłościwy! przedstawiam waszej cygańskiej mości zasłużonego dworzanina mego N. N., ospały on jest jak niedźwiedź od pierwszych śniegów do ostatnich; na służbie obraca się jak niedźwiedź, godzien jest zostać kawalerem orderu niedźwiadka smorgońskiego! Król cygański wykonywując tak poważne przedstawienie, natychmiast posyłał zapieczętowane dyplomy z wielką pieczęcią, wyobrażającą niedźwiedzia z napisem Smorgonia i dołączał order taki jaki sam na piersiach nosił. Książę przy sutym obiedzie, wręczał to zasłużonemu dworzaninowi wśród powszechnego śmiechu, spełniano toasty i wiwaty, za zdrowie nowo mianowanego kawalera, który oszczędzając sobie niełaski księcia, był powolnym, pił zdrowie króla cygańskiego i łaskawego na siebie księcia, póki się nie upił, że ręką i nogą nie mógł ruszyć. Ja dwóch takich kawalerów pamiętam, bo ich tak powszechnie nazywano.

Nie byłem ja w Albie, jak książę przyjmował króla Stanisława Augusta, ani na królewskiem polowaniu, które dla niego wyprawiał: ale opowiem (mówił Tomasz) co słyszałem od ojca, a także i od wielu szlachty dworzan jednozgodnie, ciekawa dość historja: A to tak było, gdy książę był w Warszawie i dowiedział się od króla, że ma jechać do Petersburga rzekł poufale:

To też panie kochanku, królu Stanisławie! odwiedź po drodze swego poddanego Radziwiłła, i spraw mnie panie kochanku tę łaskę, aby przecie ciemna Litwa zobaczyła słońce i poznała żeśmy z sobą w dobrej komitywie! „Dobrze! rzekł król! tylko cię nadewszystko proszę książe Karolu, ażebyś się nie przesadzał w przyjęciu, a przyjął mnie tylko dobrem sercem, skromnie ile być może i oszczędnie, przyjąć racz nie jak króla, ale jak brata! Zgoda! to tem lepiej panie kochanku, więc nie w zamku Nieświeskim, ale w letnim moim pałacyku drewnianym w Albie, o parę wiorst za Nieświeżem, przyjmę cię królu Stanisławie panie kochanku, w ładnym ogrodzie, przy kanałach i wodzie i skromnej wygodzie. Są tam w zwierzyńczyku daniele, łosie, sarny i niedźwiedzie zabawimy się więc i polowaniem, choć jeden dzień“. No to dobrze, zgoda, zgoda! Dzień sobie naznaczyli i przyrzekli. Jak tylko książe przyjechał z Warszawy, to taki był kontent, taki ruchawy i czynny, tyle wydawał rozporządzeń na królewską ucztę, że nie wiedzieć skąd mu tam przyszło tyle konceptów, a co dzień był trzeźwy, i dworzan w trzeźwości utrzymywał. Od samej granicy Nalibok, o mil ośm była zrobiona i ogrodzona szeroka droga, z oblaków sośniny i świerczyny, dla przegonu

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Przez kraj Matabellów do Kalacharskiej pustyni

Ciąg dalszy

Z tej pierwszej ze strasznym zwierzem śmiertelnej walki wyniosłem przekonanie, że w podobnych razach tylko strzał celny może mi uratować życie — na całą tę bandę czarną mało liczyć można w krytycznej chwili, nikną jak pod ziemią. Tylko na Ihaonkę lub Mussaya poniekąd mogłem liczyć w niebezpieczeństwie. Roznamiętniony i uszczęśliwiony mą pierwszą zdobyczą, nie dałem długo sobie i ludziom próżnować bezczynnie i już w dni najbliższe postanowiłem urządzić dalsze lwie łowy. W tym czasie upolowałem antylopę o kilka mil od obozu, a że już noc się zbliżała porzuciłem ją, z Ihaonką i kilku ludźmi, sam z Murssayem powróciłem do koczowiska. Rano nadciągnął z ludźmi Ihaonka meldując mi, iż noc całą strzałami i rzęsistym ogniem odpędzać musieli włóczące się wokoło lwy, których świeże mięso widocznie wabiło. Nie dałem sobie powtarzać po raz drugi o tem i w kilka godzin byłem już daleko od obozu z całą niemal załogą moją. Całodzienne przeszukiwanie bliższej i dalszej kniei nie dały żadnych rezultatów i strasznie znużeni i głodni zawracamy ku naszemu koczowisku. Szybko zapadająca ciemność i niebezpieczne maszerowanie po nocy, zatrzymało nas około jakiegoś niewielkiego wodozbioru, cuchnącego, woń którego tamowała mi oddech. Za poradą doświadczonego Mussaya pozostajemy tu na noc i ja po krótkim wypoczynku zasiadam na czatach o jakie 80 kroków od wodopoju. Lwy widocznie wyniosły się gdzieś w dalsze okolicy — niedawały znać o sobie zwykłym rykiem.

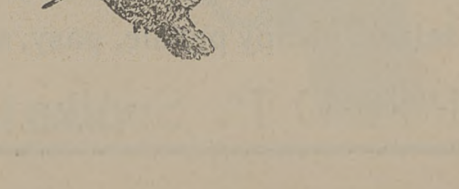
Dopiero późno po północy w dalekiej gdzieś stronie ponury ryk, jak podziemny jęk jakiś, przerwał ciszę nocną. Była to zapowiedź walki na śmierć lwa z nami, że jego towarzyszkę zabito. W tę pamiętną noc po raz pierwszy doszły mych uszu trąbienia słoni, i głosy jakieś mi nie znane. Kto nie polował w dzikich pustyniach, w czarne nie przesiadywał noce na czatach, nie wsłuchiwał się w tajemne głosy i życie tam panujące, temu trudno pojąć tego dziwnego uroku i tych przemiennych chwil od trwogi do rozkosznego przechodzących drżenia i odwrotnie. Tych chwil strasznego napięcia nerwów nie każdy myśliwy mógłby wytrzymać i nie dziwię się opowiadaniom myśliwych, którzy w takich okolicznościach tracą nietylko odwagę, lecz i panowanie nad sobą i zatykają nosy przed własnem powietrzem, zabrzydzonem. My i nasze konie były jednak tak pomęczone, a przeważnie głodne — że me łowy na lwy na czas jakiś odłożyć byłem zmuszony i pozostać w obozie. Nie zużywałem jednak tego czasu na darmo — robiłem wycieczki mniejsze, przeważnie w celu zaopatrzenia śpiżarni i wyżywienia należytego ludzi, co głównie przecież na mych barkach leżało. Zresztą wiedziałem, że człowiek syty, do-

---

z puszczy dzikiego zwierza do Alby; ośm tysięcy szlachty i chłopów nad tem ogrodzeniem pracowało bardzo śpiesznie, a potem ci wszyscy na dzień oznaczony stanęli konno i pieszo do obławy. Ale to potem o tem. Gdy nadszedł dzień i godzina wjazdu królewskiego od Stołowicz ku Nieświeżowi, książe o dwie wiorsty za Nieśwież wyjechał, na spotkanie króla konno, za nim masztalerz prowadził drugiego konia, pysznego, w bogaty rząd od pereł i diamentów ubranego, a dalej za księciem był konny poczet rycerstwa dobornego jak olbrzymy, a w pełnej zbroi, na dzielnych koniach, wyglądali wąsate bohatery jak jeden, było zaś ich więcej niż sto.

Nadjechał król, książe z siadł z konia, a cała owa straż, salutując błyszczącemi pałaszami augustowkami, stanęli we dwa rzędy obok królewskich powozów. Król wtenczas przystanął i wysiadł; była największa cichość, a wieczór pogodny i cichy i słońce tylko co zaszło. Książe Radziwiłł pospiesznie a z powagą poszedł przed wysiadającego króla, wyrzekł słów kilka, przyklęknął, schwycił za rękę królewską i ucałował, a potem jak się oba po bratersku złapali w swoje objęcia, to aż lubo było patrzeć, jak się ściskali i całowali; w tem na komendę z karabinków jak orzech zgryzł, kawalerja dała ognia i jednogłośnie po trzykroć krzyknęli „Vivant! vivant! vivant!“ Król od ust ręką pozdrowił rycerstwo i głośno powiedział im grzecznych słów kilkanaście. Książe wprzód rozczulony, braterskiem uściskaniem, opamiętał się i rzekł: Królu na twoje rozkazy, znajdziesz nas zawsze takich tysiące. Król widząc, że masztalerz i kilku dworzan trzymają gotowe konie, zażądał jechać razem z Radziwiłłem konno, i tak otoczeni rycerstwem jechali przez miasto Nieśwież, które w ówczas nie tak było odrapane jak dzisiaj. Murowane po większej części to miasto, było jakby nowo zbudowane, oświecone było rzęsisto. Król z księciem zsiedli z koni przed kościołem Bernardynów. Gwardjan podał wodę święconą do przeżegnania i krucyfiks do pocałowania, a potem dostojniki udali się przed ołtarz Boży, oddali pokłon i modlitwę Bogu wyszli i znów konno przejechali przez oświetlony rynek w pośród mnóstwa i wśród okrzyków ludu „Vivant, niech żyją!“ W tem też z Nieświeskiego zamku zagrzmiały działa. jedno po drugiem, a potem w małych przestankach raz za razem strzelali, póki król nie wysiadł w Albie i nie dano sygnału rakietą. Od Nieświeża jechał król aleją lipową, której dotąd są ślady. W tej alei od lipy do lipy wznosiła się do przyjazdu tryumfalna brama, oświecona skromnie, bo nie było więcej jak 5 tysięcy lamp, a w przeźroczu na niej napis: Tak król chciał! O kilkadziesiąt kroków była druga brama daleko świetniejsza, było 20 tysięcy lamp gorejących i napis nad bramą: Tak król wart! I znowu o kilkadziesiąt kroków pokazała się trzecia tryumfalna brama, a tu już było 50 tysięcy lamp gorejących i gorzała światłem królewska cyfra, uwieńczona koroną na wierzchu, a pod nią był napis Vivat Stanislaus Augustus rex, a pod tym napisem był drugi: Tak Radziwiłł może! Ja to pamiętam, bo to się dobrze w głowie oklepało; nawet mój ojciec to opisał, ale ja gdzieś zatraciłem, z pomiędzy moich papierów, musiał adwokat, przeglądając potrzebne do legitymacji, świsnąć i to się ojcowskie pismo zgubiło i do legitymacji z synami nie doszedłem (westchnął i dalej mówił).

C. d. n.



brze odkarmiany więcej i chętniej zrobić może, jak zachudły głodomorek, na brzuchu którego nieuczciwi ludzie chcą robić interes. Miałem też zawsze chętnych i na każde me skinienie gotowych pomocników. Przy obfitości zwierzyny, jaką tu znalazłem, nie trudno mi było tego dokazać — śpiżarnia nasza mało kiedy świeciła pustkami i ludzie głodni nie byli. Dość było przesiedzieć u wodopojów czas dłuższy, by zastrzelić antylopę, gazellę lub małe dik-dik. Miałem nawet raz jeden stado bawołów, innym razem gromady słoni — lecz do strzału nie doszły — przedsmaku rozkoszy zabicia tych gruboskórych kolosów jednak doświadczyłem. Po 10-dniowym pobycie nad Vont-Kaas porzuciłem tę, jak mi się zdawało przetrzebioną okolicę i posunąłem mój obóz o kilkadziesiąt mil na południe — w jeszcze dalsze i niedostępniejsze strony pustyni. Zatrzymałem się o kilka mil od ostatnich na mej drodze, a może nawet w całej pustyni, dość znacznych i świeżo przez ostatnie deszcze napełnionych wodopojów. Warunki dla mej karawany były tu wyjątkowo pomyślne, gdyż i paszy żyznej dla mego inwentarza znalazłem dostatek, a liczne na całej drodze spotykane ślady, wskazywały obfitość wszędzie różnorodnej zwierzyny. To też po krótkim czasie konie i woły odżyły i sił do dalszej drogi nabrały, a i my wypoczęliśmy należycie. Wchodząc w ten kraj Bakalahari-Kaffrów musiałem rozstać się z Mangnanseną — który mając dawne porachunki z mieszkańcami tych okolic, które w swej młodości ogniem i assagajem pustoszył i był jej postrachem — nie miał odwagi pokazać się tutaj i na progu wolał się cofnąć. Ja nie miałem potrzeby obawiać się Kaffrów, którzy na te czasy odnosili się przyjaźnie do białych, a zresztą szliśmy zupełnie w odwrotnych z Manganseną kierunkach. Rozstawałem się z tym czarnym towarzyszem nie bez pewnego żalu, traciłem w nim jednego z pewniejszych ludzi i strzelców dobrych. W niespełna godzinę po wymarszu M. z obozu, Mussay śledzący tęsknem okiem za jego marszem zauważył gromady sępów kołujących na drodze Mangnanseny. Był to dowód niezbity jakiegoś nieszczęścia Mangnanseny. Puściłem się z Ihaonka i Mussayem na ratunek starcowi, i po szalonym półgodzinnym galopie zobaczyliśmy całe pagórki obsiadłe ciemnymi i płowymi sępami, które przy naszem zbliżeniu z szumem podniosły się, wypuszczając zawartość swych żołądków z przestrachu. Za wysokim barhanem dziwny odkrył się przed memi oczami widok. Na pół zjedzonym wole siedział lew, drąc go w strzępy i pożerając, a dalej stojący na koniu Mangnansena nabijający swą pompówkę jednolufą. Na nasz widok starzec wskoczył na swą klacz i ku nam biec zamierzał, gdy w tej chwili zauważywszy ruch starca lew porzucił wołu i skoczył ku niemu. Nie zrobił M. i 10 kroków, jak lew siedział mu na karku i razem ze szkapą powalił go na piasek. Krótka, ale straszna zawrzała walka, starzec nożem pról skórę zwierzowi, a ten pazurami i kłami zadawał straszne rany nieszczęśliwcowi. Gdyśmy okrążyli walczących, lew raptownie porzucił swą ofiarę i ku nam z rykiem strasznym się zwrócił. Nie zdążył jednak dać skoku — kula moja i Ihaonki już tkwiły w jego cielsku, przysiadł i ryknawszy razy kilka zwalił się martwy. Teraz dopiero ludzie Mangnanseny zaczęli z poza pagórków nadbiegać, by swą orgją zwycięstwo ogłosić, lecz zwróciwszy me lufy ku nim z groźbą strzelania — zatrzymałem ich i skóry. Mangnansena, na pół zaledwie żywego, z poszarpaną ręką i ramieniem kazałem zabrać jego ludziom, sam z M. i I. obciągnąłem skórę z rabusia, która jest jedną z najpiękniejszych mych trofeów Kalaharskich.

Całe me życie miałem nieprzeparty wstręt do wszelkich płazów, a widok tego obrzydłego gada nieraz przestraszał mnie panicznie. Zawsze, o ile to było wykonalnem, unikałem miejscowości, gdzie mogłem spotkać te stworzenia, nie zawsze jednak mi się to udawało w kraju niemi przepełnionym. Polowałem na antylopy, gdy dano mi znać, iż w wysokich palmach znajduje się leopard. Wybrałem miejsce, a raczej przesmyk wązki, łączący dwie oddzielne kępy zalesione i tam stanąłem. Ludzie z psami weszli w gęstwinę i po krótkiej chwili w ciszy leśnej rozdzierający duszę krzyk zatrząsł lasem. Kto żył i ile miał siły w nogach biegł na miejsce, skąd alarm pochodził. Przy drzewie stał młody Alikar i oburącz w wyprężonych ramionach trzymał straszną głowę wielkiego gada, który jego ciało jak silnemi obręczami owinął wokoło i do drzewa cisnął. Kilka assagai tkwiło w płaskim łbie gada, gdym nadbiegł. Chłopak ten był zduszony, iż o własnej sile iść dalej nie mógł. Ściagnięta skóra węża mierzyła 2¼ metra, a grubość przedramienia olbrzymia.

Mówiąc o innych, uważam nie od rzeczy nadmienić tu słów kilka o handlu ich skórami, nierzadko pięknemi i oryginalnie wzorzystemi, w ostatnich czasach szybko rozwijającym się. Wyroby damskich torebek, portmonet, pasów, ramek etc., znajdują u naszej płci pięknej a nawet umalowanej, upodobanie i są chętnie poszukiwane. Zdawaćby sie powinno, iż handel ten winien znaleźć poparcie ogółu, coby jeszcze więcej zachęciło przedsiębiorców do tępienia tych przebrzydłych, szkodliwych i niebezpiecznych stworzeń, lecz sposób w jaki otrzymujemy ten dość cenny surogat jest tak ohydny i nieludzki, iż na samo o nim wspomnienie człowiek od oburzenia i zgrozy wzdrygać się musi. Dla eksploatacji tej nowej gałęzi handlu potworzyły się w wszystkich częściach świata towarzystwa i całe kompanie, na czele których głównie stoi „The Java Reptile Skin Comp.“ mająca w Ameryce, Azji i Afryce swe obszerne filje i przedsiębiorczych agentów, wykwalifikowanych, nie gardzących środkami żadnemi do osiągnięcia zysków. Agent taki przedewszystkiem kupuje wyłącznie towar, tak zwany w komercyjnym języku „żywy“, gdyż taki tylko posiada pewną elastyczność i zdolność do wyprawy i nadaje się na wyroby. Zatem skóra musi być zdjęta z żywego stworzenia — martwo złuszczona, niema wartości handlowej zupełnie. Proceder zatem odbywa się w sposób następujący: Łowiec gadów dostawia przedsiębiorcy-handlarzowi zupełnie zdrową, nieuszkodzoną żmiję, która od niego przechodzi do rąk oprawcy, a ten w najprostszy z nią załatwia się sposób: przywiązuje on ją za głowę do drzewa, ogonem do innego i tak wyciągniętej assagajem odcina wokoło szyi, poczem wkłada w zrobiony otwór palce i wywraca nimi skórę z całego stworzenia, jak rękawiczkę, do samego ogona. Tu jednak musi zachować całą ostrożność, by ślizkie cielisko nie wysunęło mu się z ręki, co nietylko połamaniem gnatów oprawcy, ale na-

wet uduszenie silnymi szczękami zagrażać mu mogłoby. Odarte cielisko gada ze skóry jest jeszcze przez godzin kilka tak sprężyste, elastyczne i mocne, że w swym uścisku, jak w żelaznej obręczy wszystko jeszcze zdruzgotać by mogło. Czas jeszcze długi po tej ohydnej operacji chłoszcze ono swem sprężystem ciałem po drzewie, obdzierając z niego korę. Oprawca nie dobija gada, bo po cóż? przecież i tak umrzeć musi.

W kilka dni mego pobytu na X wodozbiorem nadciągnęła karawana 3 białych myśliwych, ciągnących ku wodnym okolicom Ngami. Znajomość w podobnych warunkach zawiera się bez wszelkich ceremonji, więc też już tego samego wieczoru siedzieliśmy przy jednym stole i prowadzili ożywioną rozmowę. Byli to myśliwi na słonie i zbieracze ich drogich kości. Po kilku dniach udali się w obranym kierunku, pozostawiając jednego z nich w mym obozie, jako rekonwalescenta po przebytej ciężkiej febrze. Ktoby myślał, że czas wytchnienia dłuższego zużywałem na leżeniu brzuszkiem do góry i marzeniach o „niebieskich migdałach“ ten cokolwiek byłby dla mnie niesprawiedliwy. Owszem, nigdy nie byłem od tego, by nie pomarzyć o niebieskich lub karych oczętach, a nawet w nie zajrzeć głębiej, tu jednak, te afrykańskie piękności jakkolwiek mogły mnie pociągać ślicznemi kształtami swemi nieraz, lecz ten ich zapach specyficzny tak wielce różny od nam właściwego, odtrącał mnie od tych dzikich dzieci pierwotnego bytu. Moje polowanie zastępowało mi wszystko, tłumiło wszelkie inne zachcenia, koiły niedawne bóle, dawało zapomnienie doznanych zawodów i osładzało mi życie zawsze. Nie pojmowałem piękniejszego życia, nad swobodę myśliwską — kiedy zdala od zgiełku i gwaru wielkomiejskiego, lub nawet cichego życia wiejskiego z fuzją w ręku brodziłem po bezludnej kniei i dzikiej puszczy. O jak byłem wtedy szczęśliwy, bezgranicznie szczęśliwy! Dni przy schyłku mego życia jakże często budzą w pamięci te przeżyte wspomnienia mej włóczęgi po stepach, lasach i puszczach! Jak wyżej nadmieniłem, okolica, obrana na dłuższy postój obozu obfitowała w zwierzynę, więc też z pośpiechem urządzałem zeryby z przynętą — zasiadałem na czatach nocnych — urządzałem dalsze wycieczki, a choć nie zawsze powracałem z nich ze zdobyczą, wrażenie, doznane emocje, upajały mnie zawsze. Nie, żadne niepowodzenia zrazić mnie nie mogły. Już nie wiem ile nocy przesiedziałem w mej zerybie bez żadnego skutku pożądanego, gdy pewnego razu daleki jakiś tętent, jak przytłumiony grzmot lub bieg pociągu doszedł mych uszu. a zbliżające się odgłosy coraz większym przejmowały mnie strachem na myśl stada słoni, mogących mnie zdeptać i roznieść na swych olbrzymich nogach. Żądza ubicia tego gróboskórca wzięła górę nad strachem, poleciłem się św. Hubertowi i starej Djanie, o względy której, choć babisko stare, zawsze się ubiegałem, bo szelmostwo choć w latach, zawsze zalotne i nęcące. Siedzę i czekam; — noc ciemna, choć oko wykol. Wtem tętent ucichł i masa jakaś czarna stanęła nad kałużą. Słyszę plusk wody, widzę na jej błyszczącej powierzchni jakby czarną chmurę. O odróżnieniu pojedyńczych sztuk nadziei mieć nie mogę — poznaję jednak, że to nie słonie, a stado bawołów. Wygarnąłem z mego Hollanda, aż sam się jego hukiem przestraszyłem, tak zagrzmiał groźnie w ciszy nocnej, bo palnąłem z dwóch luf prawie jednocześnie. Żaden parowóz, żadna maszyna tak sapnąć nie zdolna, jak stado odpowiedziało na mój strzał i rwało w daleką przestrzeń.

C. d. n.



Korespondencje

Chodorów, w grudniu 1926.

Dnia 10. grudnia odbyło się pierwsze polowanie na terenach Tow. Łowieckiego Chodorów. Na 17 strzelb padło: 1 lis, 1 kozioł i 10 zajęcy. Mała ilość padłych zajęcy tłumaczy się tem, że brano głębokie knieje na dziki, a nie mioty zajęcze. Ilość zwierzyny dobra, a przy racjonalnej gospodarce i dobrym nadzorze, staną się te tereny bardzo dobremi. Konieczną jest pomoc Starostwa w Rohatynie, któreby nie wydawało kart na broń i kart myśliwskich chłopom, a więcej zaczęło tępić kłusowników.

Z uznaniem należy powitać zarządzenie powiatowego komisarza Policji Państwowej p. Gleica, który zarządził swym podległym posterunkom, aby podczas polowań, żądały od polujących karty myśliwskiej i karty na broń. *Lesław K.*

* * *

Jagielnica, w grudniu 1926.

W kluczu Jagielnica, odbyło się dnia 17. grudnia polowanie kociołkowe na polach Zabłotówka wraz ze ściankami Sosolówka, razem pięć kotłów i dwie ścianki. Strzelb 19, padło 107 zajęcy i 1 pies, nadto schwycono kłusownika z bronią w ręku.

Stan zwierzyny przedstawia się bardzo dobrze. W polu widziano kilka większych stad kuropatw.

E. Szafranek.

* * *

Jagielnica, w grudniu 1926.

W kluczu Jagielnica, odbyły się następujące polowania:

Dnia 20. XII. Kociołkowe polowania w Świdowej, Karolówce i Muchawce. Strzelb 12, zabito 32 zajęcy.

Dnia 24. XII. Wigilijne polowanie kociołkowe, w części na ściankach lasu Bielawina. Strzelb 14, zabito 1 lisa, 54 zajęcy i 1 kota.

Dnia 28. XII. Kociołkowe polowanie w Antonowie. Świdowej i Muchawce. Strzelb 14, zabito 50 zajęcy i 1 psa.

Słaby wynik tłumaczy się złą aurą, silnym wiatrem w polu, a w czasie ostatniego polowania deszczem i gwałtowną odwilżą. *E. Szafranek.*

* * *

Sielec, w grudniu 1926.

W dniu 30-go listopada odbyło się u księcia Olgierda Czartoryskiego w Sielcu (Wielkopolska) polowanie zimowe na zające. Przy sprzyjającej pogodzie opolowano pięć kotłów w dwanaście strzelb. Na rozkładzie: 938 zajęcy, 8 kogutów, 130 kuropatw, 1 lis. W polowaniu brali udział: arcyks. Karol Albrecht, poseł węg. Eks. Belitska, ks. ordynat Karol Radziwiłł, ks. Hieronim Radziwiłł, woj. pozn. i hr. Adolfowa Bnińska, hr. Alfred Potocki, gen. Carton de Viart, hr. Fleurieu, hr. Zygmunt Skórzewski, hr. Konstanty Bniński, hr. Krzysztof Mielżyński, hr. Jan Szołdrski.

Najwięcej zabił hr. Krzysztof Mielżyński: 107 sztuk. Pozatem odbył się w dobrach Sieleckich szereg mniejszych polowań leśnych i polnych w parę strzelb, na których ogółem padło: 902 zajęcy, 30 królików, 105 kogutów, 100 kuropatw, 8 lisów. Ogólny rezultat w sezonie zimowym 1926 27 wynosi więc przeszło 2210 sztuk zwierzyny łownej.

Ze względu na bardzo mokrą wiosnę i lato 1926 wynik ten jest zadowalniający.

* * *

Jagielnica, w styczniu 1927.

W kluczu Jagielnica, odbyło się dnia 5-go stycznia 1927 polowanie leśne w rewirze Halileja, oddział Łanki. Strzelb 22, padło 197 sztuk zajęcy i 1 gołębiarz. Polowanie nie udało się, z powodu deszczu, który następnie przeszedł w śnieg. W razie sprzyjającej pogody, oddział ten dawał w latach ubiegłych zwyż 300 sztuk zajęcy.

E. Szafranek.

* * *

Czortków, w styczniu 1927.

W dniach 3 i 4 stycznia 1927 odbyły się doroczne łowy w kniei jabłonowskiej.

Obecny właściciel tego łowiska, jednego z najlepszych na Podolu, p. Jan Choiński-Dzieduszycki pielęgnuje wzniosłe tradycje swojej kniei i coraz piękniejszych kart jej szczytnej historji przysparza. Przekonali się o tem znowu wybranki i wybrańcy losu, w ogólnej liczbie 20 mając na rozkładzie 7 dzików i 314 zajęcy. Najwięcej punktów osiągnął p. Zdzisław Marmarosz (4 dziki) następnie pp. Włodz. Cieński (1 dzika), Ludomir Cieński (1 dzika) i Kaz. Grocholski (1 dzika). Ogółem ruszono dzików kilkadziesiąt. Dwa lisy uszły cało, gdyż wymknęły się z miotów dziczych przed daniem pierwszego strzału.

Polowanie prowadził po mistrzowsku p. Włodkowski zarządca lasów jabłonowskich, który nietylko znakomitym jest leśnikiem, ale także zamiłowanym hodowcą zwierzyny.

To też słusznie ten moment w jednym z toastów podniesiono.

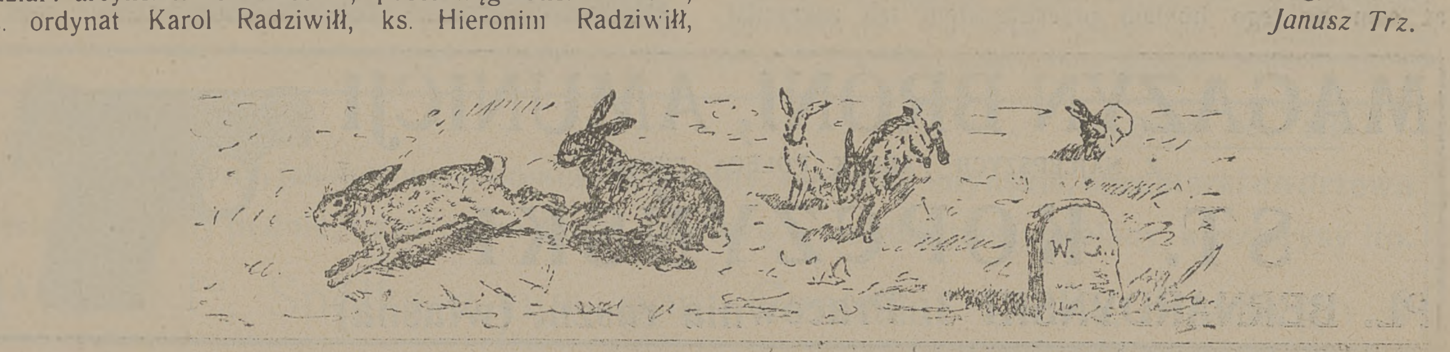
Po obiedzie gospodarz po przemowie, porywającej serce każdego z obecnych myśliwych, wręczył nagrody czterem najpierwszym.

Pierwszą nagrodę kniei jabłonowskiej, obraz olejny wyobrażający odyńca osaczonego przez psy, otrzymał p. Zdz. Mar.

Następnie p. prof. Dr. Groer odczytał skreśloną przez siebie kronikę polowania.

Na wzór sławnych kronik lisowickich, spostrzeżenia prof. Groera były pełne barwności, wykwintnego humoru i dowcipu — a odznaczony pierwszą nagrodą został nazwany laureatem Nobla z dziedziny dzikologji.

Janusz Trz.



Od Administracji.

Do wiadomości P. T. Członków!

Zauważyliśmy, że wielu członków M. T. Ł. nieczyni należytej różnicy między prenumeratą „Łowca“ a przynależnością do Towarzystwa w charakterze członka.

Tym członkom, którym różnica między prenumeratą „Łowca“ a przynależnością do Towarzystwa nie jest jeszcze dość zrozumiałą, wyjaśniamy:

CZŁONKAMI M. T. Ł. są ci, którzy na ustne lub pisemne oświadczenie przystąpienia do M. T. Ł., w poczet członków przyjęci zostali, -- a Ci jako członkowie M. T. Ł. otrzymują, w myśl art. 8 statutu M. T. Ł. organ Towarzystwa bezpłatnie i osobno prenumeraty „Łowca“ nieopłacają.

PRENUMERATOREM „ŁOWCA“ może być każda osoba, niemająca nic wspólnego z obowiązkami członka M. T. Ł., a opłacająca prenumeratę, (oznaczoną przez wydawnictwo „Łowca“).

WKŁADKA CZŁONKA wynosi kwartatnie 6 zł, łącznie z „Łowcem“. PRENUMERATA „ŁOWCA“ wynosi 2.50 zł kwartalnie, do czasu ewentualnej zmiany.

PRENUMERATOROWI „ŁOWCA“ wolno w każdej chwili zaprzestać dalszej prenumeraty. Natomiast CZŁONKOWI wolno wprawdzie każdej chwili wystąpić z Towarzystwa, — obowiązki jego do Towarzystwa — jednak ustają — dopiero po uiszczeniu całorocznej wkładki za rok, w którym zgłosił swe wystąpienie z Towarzystwa.

Tym członkom, którzy zalegają z wpłaceniem wkładki członkowskiej po koniec roku 1925, — zwracamy uwagę, że postanowiono wstrzymać im dalszą wysyłkę „Łowca“, a o ileby pragnęli uiścić się z zaległości, jednak nie czynią tego z braku potrzebnych dat, — na żądanie — możemy im wysłać dokładny rachunek.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Józef Czernik 6 zł; Ludwik Rajski, zebrane na polowaniu w Piadykach u p. Horodyńskiego 45 zł; Kazimierz Swiderski 6 zł; Adam hr. Stadnicki 50 zł; Tadeusz Łysakowski 9 zł; Jan Madeyski 10 zł; Towarzystwo Myśl. w Czortkowie, zebrane na polowaniu 18/XII 1926 5 zł; dr. Witołd Ziembicki 23 zł; Borys Żaba 6 zł; X. X. 5 zł.

Przypominamy członkom M. T. Ł., że Polskie Towarzystwo gimnastyczne „Sokół-Macierz“ we Lwowie, otworzyło ponownie w dolnych ubikacjach gmachu przy ul. Zimorowicza 8, z wejściem od ul. Sokoła 7.

STRZELNICĘ POKOJOWĄ

dla broni małokalibrowej i krótkiej. Użycie strzelnicy dostępne jest dla wszystkich Towarzystw polskich i poszczególnych polskich sportowców, którzy chcą ćwiczyć się w celnem strzelaniu z broni „Sokoła“ lub odpowiedniej broni własnej.

Strzelnica otwartą jest w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18-tej wieczór, w miarę zgłoszeń jednak może być czynną i w innych dniach.

Uczestnicy muszą się ściśle stosować do regulaminu i zarządzeń dyżurującego. Ceny użycia są następujące:

a) dla użytku (13 ludzi) sokolich strzelających drużynami stałymi, 10 strzałów z jedną tarczą 90 gr;

b) dla pojedyńczych członków Sokołów, 10 strzałów z tarczą 1·10 zł;

c) dla drużyn strzeleckich (13 ludzi) wszelkich stowarzyszeń, 10 strzałów z jedną tarczą 1·10 zł;

d) dla pojedyńczych gości, 10 strzałów z jedną tarczą 1·60 zł.

W miarę zgłoszeń odbywać się będą premiowe strzelania i zawody międzystowarzyszeniowe.

Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 18|26 wyszedł i zawiera:

Kongres międzynarodowy Ligi Ochrony żubra w Wiedniu, Jan Sztolcman; Żubr, jego historja, obyczaje i przyszłość, Jan Sztolcman; Ze wspomnień myśliwskich, Bolesław Świętorzecki; Wyróżnienie polskiego uczonego, Juljan Ejsmond; Brytan, czy niemiec? Dr. Stanisław Koźmian-Reicher; W Peczorskiej tajdze, Wł. Czerniejewski; Pointer, jego wychowanie, tresura, choroby i leczenie, Emil Karney; Polowanie w pantoflach z psem pożeraczem, Adam hr. Rzewuski; Ryś na Pomorzu, Leon Pęski; Garść wrażeń z wycieczki na Polesie, Marja z Przeździeckfch Walewska. Wiadomości bieżące. Zawody Strzeleckie. Drobiazgi Myśliwskie.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 19|26 wyszedł i zawiera:

Bez ogródek, Juljan Ejsmond; Żubr, jego historja, obyczaje i przyszłość, J. Sztolcman; Na rykowisku łosi, B. Swiętorzecki; Dwa systemy w sprawie zupełnej ochrony cieciorki, Walenty W. Garczyński; W peczorskiej tajdze, Wł. Czerniejewski; Pointer, jego wychowanie, tresura, choroby i leczenie, Emil Karney; Wskazówki na październik. Kalendarz myśliwski. Wiadomości bieżące. Zawody Strzeleckie. Drobiazgi myśliwskie. Odpowiedzi redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 20|26 wyszedł i zawiera:

Polowanie na cietrzewi z cieniami (wskazówki z praktyki własnej), A. Romer; Żubr, jego historja, obyczaje i przyszłość, Jan Sztolcman; Pointer, jego wychowanie, tresura, choroby i leczenie, Emil Karney; Z wywczasów poleskich, Adam Rzewuski; Orzeł bielik (szkic myśliwsko-przyrodniczy), Władysław Gürtler; Gęś egipska zabita nad Wartą, Janusz Domaniewski; Zmora, Aleksander Janta-Połczyński; Ze Stowarzyszeń Łowieckich; Korespondencja Łowca Polskiego; Kronika myśliwska; Sprostowanie; Wiadomości bieżące; Zawody Strzeleckie; Rozmaitości; Nowe wydawnictwa.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 21|26 wyszedł i zawiera:

Minister Rolnictwa i Dóbr Państowwych, aforyzm; Dziesięcioro przykazań etyki myśliwskiej, Juljan Ejsmond; Rok św. Huberta, J. O.; Jak w bajce, Stanisław Zaborowski; Jesienią, Bolesław Swiętorzecki; Na rykowisku jeleni w Karpatach, Juljan Ejsmond; Mieszańce dzików z trzodą chlewną, Jan Sztolcman; Pierwsza zasadzka, St. W. Orski; W niełasce św. Huberta, Zygmunt Metzig; Cieniom tych, co odeszli; Ogród Polski; Z ruchu wydawniczego; Kronika myśliwska; Wskazówki na listopad; Rozstrzygnięcie konkursu; Od redakcji; Dyrekcja lasów Państwowych, Ogłoszenie.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 22|26 wyszedł i zawiera:

Z Centr. Zw. Pol. Stow. Łowieckich; Regulamin dla Delegatów Powiat.: Centr. Zw. Polskich Stow. Łowieckich; Na zlotach kaczek, Bolesław Swiętorzecki; Polowanie na cietrzewie z cieniami, Antoni Romer; Wolna trybuna, Mieczysław Kruszewski; W sprawie artykułu p. M. Kruszewskiego, Stanisław Lilpop; Pointer jego wychowanie, tresura, choroby i leczenie, Emil Karney; Zapytanie i odpowiedzi; Z ruchu wydawniczego; Kalendarz myśliwski; Kronika myśliwska; Wiadomości bieżące; Ze Stowarzyszeń; Zawody Strzeleckie; Rozmaitości.

„ŁPWIEC POLSKI“ Nr. 23|26 wyszedł i zawiera:

Wędrówka zajęcy, Stanisław Komornicki; Orzeł bielik, Władysław Gürtler; Niesamowity miś, Albert Mmniszek; Żubr, Jan Sztolcman; Ś. p. Antoni Zapolski, Adam Rzewuski; Zmora, Aleksander Janta-Połczyński; Zapytania i odpowiedzi; Wskazówki na grudzień, O Jr; Tępienie wron, Dr. H. Malsburg; Kronika myśliwska; Wiadomości bieżące; Ze Stowarzyszeń; Zawody strzeleckie; Sprostowanie.

„ŁOWIEC POLSKI“ Nr. 24|26 wyszedł i zawiera:

W sprawie ilustracji „Łowca Polskiego“; Konferencja w sprawie projektu ustawy łowieckiej; Do pp. Myśliwych; Międzynarodowy kongres ornitologiczny, Jan Sztolzman; Pointer, jego wychowanie, tresura, choroby i leczenie, Emil Karney; Żubr, jego historja, obyczaje i przyszłość, Jan Sztolcman; Zapytania i odpowiedzi; Jubileuszowa wystawa Fałata; Kronika myśliwska; Wiadomości bieżące; Zawody Strzeleckie; Bibliografia łowiecka; Odpowiedzi Redakcji; Rozmaitości.

„PRZEGLĄD STRZELECKI I ŁUCZNICZY“ Nr. 1 wyszedł i zawiera:

„Do pracy“; O zrozumieniu potrzeb strzeleckich, J. Kalm; Dokładność broni i amunicji, major Dr. Tadeusz Felsztyn; Wystawa strzelecka i broni, J. Drzewicki; Wybór zespołu strzeleckiego na międzynarodowe Zawody w Rzymie, S. B.; Strzeleckie opanowanie terenu, Major Dr. Felsztyn; Wyszkolenie strzeleckie, organizacja Zawodów w szkolach, M. Fularski; „Dziwak“ (opowieść egzotyczna), M. B. Lepecki; Celowniki precyzyjne do broni długiej dowolnej; Sport strzelecki w Rosji Sowieckiej; Zamierzone wydawnictwa strzeleckie, J. Szyszko; Harcerze a sport strzelecki, Muszkieta; „Pistolet czy rewolwer“; Łucznictwo na szerokim świecie, Zarychta; „Książka łucznicza“; porady rasznikarskie; Kronika; Ośpowiedzi Redakcji.

OGŁOSZENIA

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.